Rozmaitości

Dnia 2. Marca **Nr 9.** 1839 Roku.

BANKOLO,
CZYLI:
JAŁMUŻNA ARTYSTY.
(Przez Amédée de Bast.)

Dnia 15. marca 1735 roku cała ludność miasta Marsylii zgromadziła się w porcie, dla obchodzenia uroczystego i rozrzewniającego obrzędu. Zakonnicy Maturyniści*) przybyli z chrześcijańskimi jeńcami, których wykupili z niewoli w Algierze, Tunecie, Marokko i Trypolidzie. Dniem wprzód zawinął był do zatoki okręt, mający na swym pokładzie tych biednych niewolników i czcigodnych ich wybawicielów, a przybycie jego zapowiedziano wystrzałami z dział dla uradowania publiczności, spodziewającej się znaleźć krewnych i przyjaciół pomiędzy tymi nieszczęśliwymi, których żelżywe okowy zdjęła wielkoduszna miłość bliźniego.

Duchowieństwo ze wszystkich parafij marsylskich, poprzedzone licznem bractwem obojéj płci z choręgwiami, miejskie władze, gubernator prowincyi na czele swych urzędników, biskup z całą swą kapitułą i wojsko załogowe udali się do portu, który już ze świtem dnia niezliczone mnóstwo ludu oblęgło. Statki stojące na kotwicy w zatoce, w znak powszechnéj radości, rozwinęły swoje narodowe chorągwie, a liczna artyleryja, dająca co pięć minut ognia ze wszystkich warowni miasta, łączyła grzmot swój z odgłosem wszystkich dzwonów kościelnych.

Nareszcie wykupieni jeńcy i bracia miłosierdzia wysiedli na brzég. Widać było, iż wielu z tych nieszczęśliwych, niosących na sobie jeszcze znamiona okrucieństwa swych władzców, i nie mających wprzódy żadnéj nadziei zobaczenia swojéj ojczyzny, ukląkłszy całowało ziemię francuzką. Drudzy płacząc z radości witali się z swymi krewnymi, których pomiędzy tłumem ludu poznawali: łzy radości i rozrzewnienia płynęły z oczu wszystkich, a śród tego powszechnego uszczęśliwienia czcigodni zakonnicy, sprawcy téj szczytnéj, świątobliwéj radości, postępowali spokojnie i w milczeniu pośród tłumu zgromadzonego ludu, który ich okrywał swojemi błogosławieństwy.

Cały ten orszak udał się do katedry na nabożeństwo dla złożenia Najwyższemu swoich dziękczynnych modłów; poczém każdy jeniec wrócił do swych krewnych, do swych przyjacioł. Jeńców zaś, którzy w stołecznem mieście prowincyi téj nie mieli ani krewnych, ani przyjacioł, przyjęli do siebie miejscy obywatele, którzy pozwoliwszy im odpocząć u siebie przez dni kilka, podali im sposobność udania się do swoich rodzin oddalonych.

Mnóstwo cudzoziemców znajdowało się na tym uroczystym obrzędzie; wszyscy oddawali hołd nieustraszonéj miłości bliźniego i nadludzkiemu poświęceniu się czcigodnych braci miłosierdzia. Po skończonym obrzędzie jeden z cudzoziemców, po którego mowie i ubiorze poznać było można, że jest Wenecyjanin, zbliżył się do zakonnika, który zdawał się być najstarszy wiekiem. »Powiédz wćpan, czego żądasz?« odezwał się zakonnik.

*) Maturyniści, nazwani także ojcami miłosierdzia, poświęcali się wyłącznie wykupieniu Chrześcijan zostających w niewoli. Zwidzali oni państwa katolickie, zbierali jałmużnę i udawali się co roku do władzców krajów barbaryjskich, dla wykupienia od nich kilkuset niewolników. Zdarzało się nieraz, iż zostawiali w zakład kilku z swojego grona zakonników, bądź dla wydobycia z więzów większéj ilości osób, bądź dla rękojmi sum, których wypłacić nie mogli.

»Szanowny ojcze, jeżeli się nie mylę, liczba jeńców, którycheście przywieźli, więcéj niż do dwiestu dochodzi.« — »Tak jest, mój panie.« — »Iluż ich jeszcze pozostało w okowach afrykańskich?« — »Niestety! mój panie, więcéj niż sześćset!« odrzekł zakonnik z westchnieniem; »jałmużny, któreśmy w latach ostatnich otrzymali, nie były bardzo znaczne; tą razą nie mogliśmy wykupić jak tylko niewolników podeszłych wiekiem; przytém musieliśmy jeszcze zostawić w zakład trzech naszych braci, dla wybawienia trzech nieszczęśliwych jeńców włoskich, którzy przez swój wiek stary i słabość byliby zapewne poginęli w niewoli.« — »Trzech jeńców włoskich!« przerwał cudzoziemiec; »z któréjże części Włoch są ci jeńcy?« — »Zdaje się mi, że z Sycylii.« — »Ich nazwiska?« — »Powiém wćpanu natychmiast,« odrzekł zakonnik, »bo zdaje się mi, iż mam przy sobie spis wszystkich unieszczęśliwionych braci naszych.« To rzekłszy ojciec miłosierdzia sięgnął do kieszeni i wyjął długą kartę pargaminową. Poczém przebiegłszy z pospiechem spis wszystkich jeńców, rzekł: »Oto są nazwiska, o których się wćpan dowiedzieć żądasz. Najpiérwszy jest Paolo Bankolo, mający lat 86, poborca cła i podatku w Palermo, w niewolą wzięty na wyspie Syra r. 1700.« — »O nieba!« zawołał cudzoziemiec, »nie myląż cię twe oczy, szanowny ojcze? jestże w saméj rzeczy nazwisko Pawła Bankolo napisane na téj karcie?« — »Przeczytaj sam, mój panie,« odrzekł zakonnik. — »Paolo Bankolo! tak, tak, to on sam! Ach! powiédz mi, powiédz mi, ojcze wielebny, gdzie się ten czcigodny starzec znajduje? na miłość Boga zaklinam cię, powiédz, gdzie się znajduje?« — »Paolo Bankolo,« odrzekł zakonnik zdziwiony zmienioną twarzą cudzoziemca, »znajduje się w téj chwili u hrabiegoLangeron gubernator Marsylii. Nieustraszony i szlachetny Langeron nie poprzestaje na okazywaniu odwagi i poświęceniu się, gdy wojna i morowe powietrze niszczą jego ojczyznę, ale i wtedy gdy w niéj pokój i pomyślność panują, jest on opiekunem siérot, nieszczęścia i ubóstwa. Tak, nie inaczéj, powtarzam waćpanu, Bankolo znalazł schronienie w pałacu gubernatora, i zapewne nie wyjdzie ztamtąd, aż dopokąd nie wsiędzie na okręt, który do jego ojczyzny go odwiezie.« — »Ach! tysiączne składam ci dzięki, wielebny ojcze, za tę wiadomość,« odrzekł cudzoziemiec, całując z uszanowaniem rękę zakonnika; »ale chciałbym się jeszcze z tobą zobaczyć; powiédz, gdzie cię będę mógł znaleźć?« — »W klasztorze moim, do którego ztąd nie bardzo jest daleko. Przyszedłszy tam, zapytasz się o ojca gwardyjana.« — »Żegnam cię więc, wielebny ojcze.« To rzekłszy cudzoziemiec udał się z pospiechem w ulicę, która prowadziła do gubernatora. Dopiéro po chwili, gdy się oddalił, postrzegł zakonnik, iż dwóch lokai w bogatéj liberyi szło za nim w niejakiém oddaleniu.

»Już była zapadła noc spokojna; już dzwon klasztorny zwoływał Maturynistów do chóru dla odbywania powinności wieczornych, gdy odźwierny oznajmił ojcu gwardyjanowi, iż dwoch cudzoziemców życzą sobie z nim mówić. Ojciec gwardyjan usłyszawszy to, udał się natychmiast do rozmawialni i poznał zaraz, że jeden z tych cudzoziemców był ten sam, z którym mówił tego poranku; drugi zaś byłto Paweł Bankolo, siwy starzec, wykupiony z niewoli. Atoli powierzchowność tego ostatniego okazywała, iż z losem jego wielka zaszła odmiana. Miasto nędznéj odzieży, którą nosił w swojéj niewoli, przywdział na siebie bogatą szatę, jako znamię majętnego człowieka. Uściskał on z czułością szanownego ojca miłosierdzia, wyrażając mu kilkakrotnie swoje najgłębsze podziękowanie. »Pawle Bankolo,« rzekł do niego ojciec gwardyjan, »po tylu okropnych klęskach i długoletnych cierpieniach, obdarzył cię Bóg, jak się zdaje, dostatkiem i przyzwoitém utrzymaniem. Błogosław mu Bankolo, i w świetnym swoim stanie, w którym teraz zostajesz, nie zapominaj, żeśmy w owym kraju zostawili nieszczęśliwych, którzy płacząc utraconéj wolności do rodzinnéj swéj zagrody wzdychają!« — »O nie, mój ojcze,« odrzeknie cudzoziemiec, »Paweł Bankolo nie zapomni nigdy o towarzyszach, którzy razem z nim dzielili nieszczęście i niewolę, będzie on się starał podług swojéj możności przynieść ulgę cierpieniom ich i skruszyć ich okowy. Oto dzisiaj w obecności twojéj przyjmuje on tę powinność na siebie, a ja, który jestem synem jego,

ręczę, że ją święcie wykona.«—»Wćpan jesteś synem Pawła Bankolo?« zapytał zakonnik. — »Tak jest, mój panie, a Najwyższy aż do dzisiejszego dnia nie dozwolił mi był szczęścia cieszyć się moim ojcem, który wydarty był swojéj rodzinie w czasie, gdy jeszcze byłem niemowlęciem w kolebce.« Zakonnik usłyszawszy to, podniósł oczy ku niebu. »W ośm dni po mojém narodzeniu,« rzekł cudzoziemiec dalej, »ojciec mój, będąc jak ci wiadomo poborcą cła i podatków w Palermo, przez kilku spekulantów greckich, którym znaczne wyświadczył przysługi, został wezwanym, aby się udał na wyspę Syra. Wsiadł on na okręt w porcie Katara, i od tego czasu cała rodzina nasza nie wiedziała, w którém miejscu przebywa. Matka moja posłała na wyspę Syra osoby, posiadające jéj zaufanie. Spekulanci greccy zapewniali, że nie tylko nie widzieli mojego ojca, ale nawet, że statek, na którym płynął, nie zawinął nigdy do Syry. Sądziliśmy, że umarł; wyobraź sobie teraz moje zadziwienie i moję radość, gdy dziś rano w obecności mojéj wymieniłeś jego nazwisko! Imię, wiek, czas, w którym pojmany był w niewolą, wszystko to kazało się mi domyślać, że przeczucie serca mego zawiedzionem nie będzie. Pospieszyłem natychmiast do gubernatora Langeron. Tam ujrzałem nieszczęśliwego jeńca, i wkrótce rzuciłem się ojcu memu w objęcie.« — »Nie zbadane są wyroki Opatrzności!« zawołał zakonnik uroczystym głosem. »Ale dla czegoż Pawle Bankolo nie doniosłeś swojéj rodzinie, że jeszcze żyjesz na tym świecie?« — »Korsarze tunetańscy,« odrzekł starzec, »schwytali nas w oddaleniu na mil kilka, a przybywszy do Tunetu przedali nas dejowi; ten zaś posłał nas dalej niż na sześćdziesiąt mil w głąb swego kraju, gdzieśmy nad założeniem twierdz pracowali, i tylko memu podeszłemu wiekowi przypisać mogę, żem wrócił do Tunetu, w którymeś mnie, przewielebny mój ojcze, dając w zastaw jednego z młodych swych zakonników, wydobył z niewoli.«—»Czcigodny ojcze,« przerwał z żywością syn Pawła Bankolo, »powiédz jakiéj sumy potrzeba na wykupienie tych sześciu set niewolników chrześcijańskich, którzy się jeszcze znajdują w niewoli afrykańskiéj?« — »Mój przyjacielu,« odrzekł ojciec gwardyjan, »Mohametanie są bardzo zaciętymi kupcami, przyzwyczajeni do zdzierstwa i trudni do nasycenia. Jednakże sądzę, iż 500.000 liwrów byłoby dostateczném do wydobycia naszych braci z niewoli.« — »Dobrze więc, czcigodny ojcze,« odrzekł cudzoziemiec, »ja postaram się, abyś otrzymał rzeczoną kwotę. Spodziéwam się, że się nie ulękniesz nowéj podróży.« — »Trzy części życia mego,« odrzekł zakonnik, »spędziłem w podróży za granicą; pokładając ufność w Bogu i w miłości bliźniego, zwidziłem różne morza i przeszedłem pustynie afrykańskie; uważ więc, ażalibym się wahał przedsięwziąć nową podróż, mającą za cel wybawienie wszystkich nieszczęśliwych zostających w niewoli?« — »Bądźże więc w następnym roku w Wenecyi, w przedjutrze środy popielcowéj,« rzekł młody Bankolo, »w pałacu Orsyniego na placu Sgo Marka; tam się z tobą zobaczę. Nie zapominaj, że tam oczekiwać cię będę, i że od ścisłego wykonania téj powinności zależéć będzie wybawienie naszych braci w Afryce. A teraz żegnam cię czcigodny ojcze.« Poczém obadwaj Bankolo, uściskawszy serdecznie zacnego zakonnika, oddalili się z rozmawialni. U bramy klasztoru czekał na nich spaniały powóz, do którego wsiadłszy, spieszno gościńcem do Włoch ruszyli.

° ° °

W tłusty czwartek następnego roku, teatr *de la Fenice* w Wenecyi przedstawiał spaniały i zachwycający widok. W ośm rzędów wzniesione loże, napełnione osobami, które pięknością, bogactwem lub znakomitością odznaczały się w całych Włoszech, spromienione były rzęsistém światłem. Dwadzieścia cztery tysiące świéc woskowych paliło się na tysiąc dwiestu srébrnych, pozłacanych kandelabrach, a z kunsztownem tém słońcem walczyły o piérwszeństwo szlufowane źwierciadła, zawoje z karbunkułami, dyjademy z pereł, łańcuchy roziskrzone szmaragdami i ametystami, naszyjniki lśniące się topazem i rubinami i kameje w szczére złoto oprawne. Zdawało się, iż w teatrze *de la Fenice* zgromadzeni byli mieszkańce ze wszystkich krajów włoskich; byłto prawdziwy zjazd artystowski. Poznałeś tam matrony rzymskie po regularnych rysach ich twarzy, niewiasty

bonońskie po wdzięcznym ich uśmiéchu, Medyjolanki po nizkim wzroście, Neapolitanki po ognistym ich wzroku, dziewice z Mantui po białéj twarzy, z Florencyi po czarnych warkoczach i Wenecyjanki po smukłéj, gibkiéj ich kibici. Pośród wszystkich tych niewiast z różnych względów słynących, znajdowały się starożytnych i młodych Włoch najznakomitsze osoby; widziałeś tam potomków Grachów, Scypijonów, Sforców, Medyceuszów; następców Michała Anioła, Tycijana, Karawadzijów i Berniniego. Umiejętność, kunszta, szlachectwo, dostojność, władze polityczne i umysłowe, wszystko to zebrane było jakby w ognisku w tym mitologicznym raju, gdzie *rozkosz*, ta wielka władczyni świata, siedząc na tronie z szafiru pomiędzy dwoma ulubionymi ministrami swoimi, t. j: pomiędzy modą i dobrym smakiem, przewodniczyła całemu zgromadzeniu.

Ubiory włoskie tak malownicze i tak poezyjne, już były zniknęły ku połowie ośmnastego wieku; jednakże pomimo wciśnienia się mody francuzkiéj, każda okolica zachowała jeszcze znamię narodowości. Tym sposobem Wenecyjanki miały na głowie sploty włosów, spięte dużą czarnego szmelcu iglicą, a damy z Sienny i Florencyi miały na sobie płaszcze z purpury, upiększone złotemi gwiazdami i srébrnemi muszkami. Mężczyzni byli wszyscy ubrani po francuzku, a starożytny sztylet medyjolański, dawny puginał rzymski, zastępowały owe wytworne szpady z rękoiścią stalową, jakie niegdyś były w zwyczaju. Batożki, jakie dzisiaj noszą nasi gładysze jadąc na koniu, albo przechadzając się pieszą, są niezawodnie znakiem wielkiego udoskonalenia; ale przyznać należy, że szpada nierównie większéj powagi dodawała. Damy miały także przy boku szpady swoje; byłyto duże bukiety z róż, granatów, kwiecia pomarańczy, narcyzów, lilii i tuberozy, z których obrywając listki, igrając swemi flakonikami z pachnącą wodą, sprawiały, iż dészcz kwiecisty zdawał się bez ustanku spadać z lóż na znajdujący się pod niemi parter, i głowy młodych patrycijuszów, którzy w tém miejscu się cisnęli, zamieniał raz w upstrzoną, chwiejącą się murawę, raz znowu w różnobarwne, ruchome fale, podług dziwactwa i wzruszenia tego zgromadzonego ludu. Nie samato radość karnawałowa była zaiste powodem do tak spaniałego zgromadzenia towarzystwa. Inny, niepokonany pociąg przyłączył się był do żądzy użycia rozkoszy karnawałowych. Wieść rozeszła się po całych Włoszech, iż sławny p o l i s z y n e l o w krótkim czasie oddali się z Wenecyi. Po raz ostatni miał pan Bankolo w całym blasku swéj chwały wystąpić na teatrze *de la Fenice*, a całe Włochy szczodre w wieńce, tryjumfy, dytyramby i palmy, zgromadziły się na ten pogłos dla złożenia hołdu wdzięczności i podziwienia artyście, który przez tak długi czas wielce przyczynił się do ich zabawy.

Charakter poliszynela jest typem. Poliszynelo mieści w sobie zbiór występków i cnót całego towarzystwa ludzkiego. Jest on samolub, skąpiec, junak, tchórz, zarozumiały, niewierny i zabobonny, czasem nawet szlachetny, czuły, filozof i marnotrawca, podług czasu i okoliczności; ale tak w występku jak cnocie, zachowuje on zawsze podziwienia godną uczciwość; filozofija jego jakkolwiek prosta, jest prawdziwą, naturalną i ujmującą; czyny jego nacechowane są przedziwną komicznością, a mowa jego nie mniéj jest oryginalną, jak i sama osoba. Postać poliszynela jest hieroglificzną. W rysach twarzy jego ujrzysz wyrażoną wszelką godność i wszelką przywarę ludzkości; ma on orli nos; jestto znamię odwagi; ale zeszpecony niejaką wypukłością, jako znamieniem nieumiarkowania. Czoło jego jest wzniosłe i szérokie jako czoło Jowisza olimpijskiego, ale niepohamowane namiętności poorały na niém głębokie bruzdy; oczy jego są duże i széroko otwarte, ale powieki ich czerwone i wystające, jak powieki starego orła, który z upodobaniem wzrok swój w słońcu zatapiał. Usta ma piękne i różowe; zęby białe jak kość słoniowa; ale uśmiéch igrający na jego ustach i wyrażający to samo, co wyraża wzrok jego oczu, ma w sobie coś sardonicznego i piekielnego. Poliszynelo ma białe włosy i jest niekształtnéj kibici; ale ułożenie jego jest tak przyjemne, umysł jego tak wesoły i żywy, iż nie postrzeżesz w nim tych ułomności, jeżeli wiek i słabość za ułomność poczytać można. Przy tém postać poliszynela jest także nauką żyjącą,

zważywszy, że szpetność ciała jego niknie w obec wyskoków jego dowcipu, przy niewymuszonéj i swawolnéj jego mimice.

Bankolo, jako człowiek obdarzony wyższym umysłem, zaraz za piérwszém wstąpieniem swém w ten zawód, poznał wszelkie korzyści, jakie tylko prawdziwy artysta z tak rozlicznéj osoby, jaką jest poliszynelo, odnieść może. Przyłożył się on do zgłębienia nadmienionego charakteru, i w krótkim czasie powiodło się mu, iż tak doskonale umiał przybrać wszystkie jego postacie, i z taką śmiałością wcielać się w rozliczne jego charaktery, że komedyjant zniknął ze sceny, a publiczność nie widziała i nie uwielbiała jak tylko poliszynela. Bankolo otrzymał za swoję wytrwałość i usiłowanie nagrodę. Ogłoszono go piérwszym poliszynelem w całych Włoszech, a poliszynelowie z Neapolu, Palermo, Bononii, Florencyi i Pizy, przymuszeni byli uznać go za swego mistrza. Sława jego wzrastała razem z jego tryjumfem. Rozeszła się ona po za Alpy i Piryneje; w Madrycie, Wiédniu, Berlinie żądano widzieć poliszynela. Bankolo zwidził całą Europę, zebrał sobie wielki majątek, ale większéj jeszcze nabył sławy; jednak nieodrodny i wdzięczny syn ojczyzny, wrócił do niéj jako pobożna całopalna ofiara i przyniósł ostatni blask talentu, który zamyślił już uchylić z wielkiego świata. »Już nie zobaczymy Bankola! — Dziś gra po raz ostatni. Dziś w wieczór będzie się żegnał z nami! — Co za strata dla teatru *de la Fenice!* Jaki smutek ogarnął całe Włochy!« Podobne skargi i żale słychać było powszechnie; a jednak twarze kobiét uśmiechały się z po za wachlarzy z korónek; spaniała orkiestra, godna być orkiestrą Olimpu, roznosiła wokoło harmonijne swe dźwięki. Lody, sorbety obnoszone przez Murzynów, krążyły pomiędzy ludem na tacach kryształowych, a dészcz kwiecisty nie przestawał padać na złote epolety, świetne mundury i błyszczące kaski młodych oficérów w parterze.

Bankolo tego wieczora przewyższył sam siebie. Publiczność to pękała od śmiéchu, to znowu roniła łzy gorące. Raz zagrzmiało dwadzieścia tysięcy rąk hucznemi oklaskami, przyczém słychać było głośne wykrzyki: »*Bravo! bravi! per Baccho! bravissimo!*« Raz znowu dziesięć tysięcy chustek zakryło wszystkie twarze zapłonione radością, a potém nastała poważna cisza, którą tylko przerywały westchnienia. Patrząc z góry na salę, wszystkie twarze niewiast przesłonięte białemi welonami, podobne były do owych mumij królewskich, które otoczone drogiemi kamieniami, w jaskiniach piramidy Gizeh spokojnie zasypiają.

Bankolo ułożył dramę z swoich własnych wypadków. Poliszynelo wystawiony narozmaite zmiany losu, będąc siérotą i żebrakiem, margrabią i lichwiarzem, majtkiem, żołniérzem i kupcem, znajduje nareszcie swego starego ojca jeńcem u marokańskich korsarzy. A w całéj téj Odyssei były sceny, w których małe dzieci pękały od śmiéchu, lecz były także i sceny, w których mężowie łzy ronili. Z najżywszéj radości przechodzono nagle w najtkliwsze rozrzewnienie. Bankolo był wielkim czarownikiem; zdawało się, iż trzymał w swoim ręku serce całego zgromadzenia, i władając niém podług swéj woli, lub łzy z niego wyciskał, lub do śmiéchu pobudzał. Sztuka ta podobała się niezmiernie. Spuszczono zasłonę, tysiąc głosów zagrzmiało nagle wołając: »*Bankolo! Bankolo! illustrissime poliszynello!* niech wystąpi! niech się pokaże!« Damy zaczęły powiéwać chustkami, mężczyzni grzmiali oklaskiem; cały ten tłum zdał się być upojonym rozkoszą, szczęściem i uniesieniem. Bankolo ukazał się w sukni swego tryjumfu, w sukni poliszynela... Na ten widok podwoiła się radosna wrzawa i wzmógł się rozruch i tupanie; huczne oklaski zagrzmiały znowu ze wszystkich końców sali. Widząc ten zapał, to uniesienie, rzekłbyś, że Wenecyja zdobyła znowu swoje berło na morzu, i że znowu jéj doża obchodzić ma swe zaślubiny z Morzem Adryjatyckiém.

»Niech żyje! niech żyje poliszynelo!« wołały tysiące głosów, jak wołano niegdyś: Niech żyje! niech żyje Otello! gdy sławny Murzyn ten pośród zastępów sławiańskich, nieruchomych jak karyjatydy, i niosących lśniące złotem i krwią zbryzgane, na tureckich wojskach zdobyte chorągwie, jako naczelnik do ich portu zawinął.

Tymczasem Bankolo zdjął z siebie maskę; po raz piérwszy ukazał się on przed tym tłumem upojonym radością i uniesieniem w swojéj własnéj postaci. Na ten widok publiczność jeszcze większemi zaczęła okrywać go oklaskami; rzekłbyś, że w téj chwili ogromny gmach teatru *de la Fenice* zapadnie się pośród tego wybuchu uwielbienia. Bankolo dał znak, że mówić żąda. Natychmiast ustało klaskanie, każdy nakłonił ucha jak gdyby dla słuchania harmonii muzyki nowéj, i głuche milczenie nastąpiło pośród obszérnéj sali. Bankolo wystąpił naprzód sceny, u któréj trzysta lamp się paliło, i pozdrowiwszy trzykrotnie publiczność, rzekł czułym, przenikającym głosem:

»Moi panowie! Widzicie przed sobą człowieka »przejętego wdzięcznością za uprzejmą dobroć, »którąście mu okazywali. Wieńcem chwały okrywacie tę niewymowną łaskę przez pochlebną o»znakę, którą dziś zaszczycać mnie raczycie. Jeżeli»m był tak szczęśliwy, żem się podobał wam »przez przeciąg lat niemal trzydziestu, jeżeli słaby »mój talent w oczach waszych mógł sobie zjednać »jakie względy, składam za to podziękę temu, któ»rego tu bez uwłoczenia Imieniu Jego wymówić »mi nie wolno. Tak jest, moi panowie, składam »podziękę Temu, którego wszechmocna potęga naj»dokładniéj zna chwilę, w któréj obdarzyć ma

»kraj sławnymi wojownikami, podziwnymi arty»stami, lub cnotliwémi osobami; tento wielki bu»downiczy niebios, napełniający padół ten istotami »swego wyboru, rzucił nań i mnie, nędzną, kruchą »lepiankę z ziemi. Przyjęliście ją łaskawie, okry»liście sławą, jaka tylko rzadkim i nieocenionym »talentom przynależy. Przyjmiéjcież zato najgłęb»szą moję podziękę, czyli raczéj przymiéjcie i za»chowajcie w sercu waszém pamięć dozgonnéj »méj wdzięczności. W schronieniu mojém towa»rzyszyć mi będzie ta myśl pocieszająca, żem ni»gdy nie popełnił złego uczynku, i żem podług »możności mojéj przyczynił się do złagodzenia i »ukojenia smutku naszéj ojczyzny. Żegnam was, »moi panowie.« Po skończonéj téj mowie dały się słyszéć nowe oklaski; ale tą razą do radosnych okrzyków przyłączyło się nowe objawienie spółczucia i udziału. Wszystkie kobiéty zaczęły rzucać swe bukiety na scenę; wieńce, palmy, sonety, wiérsze w rozmaitych językach spadały jak grad pod nogi poliszynela. Sami nawet książęta i margrabiowie odrywając ordery, któremi były ozdobione ich piersi, rzucali je w znak cześci temu, który tak dokładnie pojął przeznaczenie komedyjanta.

Bankolo skłonił się i rozpłakał. Podniósł rękę, i znowu nastąpiło milczenie: »Moi panowie!« rzekł Bankolo, »dzisiaj mamy ostatni dzień tego»rocznego karnawału; w przeciągu jednéj godziny »cały ten gmach zamienionym będzie w salę balową; »zejdziecie się do niéj w rozmaitych ubiorach. »Wielki magnat przybędzie tam przebrany za pa»stérza; poważna matrona za bajaderkę; paź za »brodacza; młoda dziewica za poważną matronę; »wszystkie wieki i wszystkie stany przemienionemi »zostaną, aż dopokąd nie zabłyśnie poranna zorza. »Wszystko używać będzie rozrywki i zabawy!... »Jak skoczne tańce! jak żywe uniesienia! jaka »rozkosz! jakie szczęście was czeka! Ale zanim »się oddacie temu ukontentowaniu pozwólcie biéd»nemu komedyjantowi wezwać was pokornie, aby»ście zabawę nocną szlachetnym, dobroczynnym »poprzedzili uczynkiem!... Moi panowie, w czasie »gdy wy pośród rozkosznéj woni, pośród dźwię»ków muzyki upajającéj wyprawiacie skoczne »tańce; w czasie gdy z tkliwością przyciskacie do »swego serca rękę kochanki, lubéj siostry albo »małżonki; w krajach barbaryjskich jęczą bracia »nasi w niewoli i pośród srogich, długo-letnych »męczarni wyciągają ku nam swoje od kajdan »pogańskich pokaléczone ręce. Moi panowie! za»klinam was imieniem Najwyższego, wesprzyjmy »ich naszym datkiem; poświęćcie wy dla dobrego »uczynku rozkosz, któréj dzisiaj w nocy używać »macie, a ja z mojéj strony poświęcę swobodę, »którą rodzinnych bogów moich obdarzyć chciałem. »Na placu Śgo Marka jest świątobliwy mąż z za»konu wybawicieli, który przyjmie nasze ofiary. »Ja udam się z tego miejsca prosto do tego męża. »Moi panowie, i wy szlachetne damy, pójdźcie za »moim przykładem; niech po raz piérwszy głos »poliszynela przyczyni się do tryjumfu miłości »chrześcijańskiéj.«

Gdy przestał mówić, całe zgromadzenie powstało. Z powagą zeszedł poliszynelo z stopni teatru, a za nim udał się tłum najznakomitszych osób, które pospólstwo radosném uwielbieniem okrywało. Tym sposobem cały ten orszak w towarzystwie gondolierów, służących mu za straż honorową, przybył aż na plac Śgo Marka, gdzie starożytny lew Wenecyi, zobaczywszy tak spaniałą wielkość i potęgę, jaką ten wodny gród Neptuna w owe czasy słynął, gdy rzeczpospolita wenecka skarbami świata, zwycięztwy i tryjumfy kwitnęła, zadrzał z radości.

W pośrodku pałacu Orsyni, szanowny ojciec miłosierdzia siedział na krześle z słoniowéj kości; po prawéj ręce jego znajdował się notaryjusz papiéża, a po lewéj senator rzeczypospolitéj weneckiéj. W około nich srébrne lampy rozsiewały swe światło, a sala pałacu starożytnych Gonfaloniérów ozdobiona była przepyszném obiciem; marmurowe ściany osłaniały miękkie, tureckie kobierce. Poliszynelo w towarzystwie świetnego orszaku szedł wolnym krokiem po pod milczące sklepienie pałacu. Przy wnijściu do sali, jakby cudem spadły z niego suknie poliszynela, a Bankolo wystąpił w aksamitnéj, błękitnego koloru złotem haftowanéj szacie, stosownie do ubioru znakomitéj szlachty weneckiéj. Wszedłszy do sali, złożył przed ojcem miłosierdzia napełnioną złotem sakiewkę i rzekł do niego cichym głosem:

»Szanowny ojcze! dotrzymuję mojego słowa i przynoszę okup za mego ojca. Proś Boga, aby ta ofiara z rąk moich Bogu miłą była.«

»Mój synu,« rzekł świątobliwy zakonnik, »człowiek w każdym stanie może się podobać Bogu, i zapewniam cię, że ze wszystkich tych ofiar, które dotychczas otrzymałem, jałmużna poliszynela będzie Bogu najprzyjemniejszą!«

Obliczono, iż tego jednego wieczora w Wenecyi więcéj niż czternaście tysięcy franków jałmużny do kassy wpłynęło. Przykład poliszynela był tak zachęcającym, iż najpiękniejsze i najwytworniejsze damy zdejmowały z siebie perły, łańcuchy, pierścienie, bransolety i inne drogie klejnoty i składały je jako jałmużnę przed ojcem miłosierdzia. Pospólstwo, które chętnie naśladuje piękne przykłady, przyłożyło się z swojéj strony, tak dalece, iż w przeciągu kilku tygodni czcigodny zakonnik wrócił do Marsylii z zasobem pieniężnym, dostatecznym do wykupienia wszystkich niewolników chrześcijańskich, znajdujących się nie tylko w Państwie Marokańskiém, w Algiérze i Tunecie, ale nawet tych, którzy na wybrzeżach Tracyi byli w niewoli.

ZE LWOWA.

Tygodnika rolniczo-przemysłowego Ad. Kasperowskiego wyszedł N. 9. i obejmuje: 1) Jaka jest różnica gospodarstwa polowego względem przemysłowego. 2) Jakie są skutki ze złego chowu owiec (dokończenie). 3) O przekształceniu wełny. 4) O żywieniu bydła melasą. 5) Bilans cukrowni Łańcuckiéj za rok 1836/37. 6) O rolnictwie w Hiszpanii.

Wiadomości literackie. *Wędrówki literackie, fantastyczne i historyczne;* przez J. J. Kraszewskiego, tom 1. (Wilno 1838, str. 214). Są to powieści, obrazy, marzenia, łatwym i niech tak rzekę, ulotnym pisane stylem, pełne świéżych myśli, znajomości ludzkiego serca i zapatrywania się na przedmioty najznajomsze nawet z nowego stanowiska. Jezli co w różnorodnym ogromie tegoczesnéj literatury można jeszcze oryginalném nazwać, ledwiebym do takich płodów »Wędrówek« nie policzył, tak co do treści jak i co do formy. Przed innemi dalibyśmy w tém dziele pierwszeństwo artykułom: »Wieczerza Cagliostra,« »Imieniny (scena z życia księcia Józefa Poniatowskiego),« »Leon Leontyna,« »Bedlam,« i »Uczta żebraka.« W artykule: »Nieboszczyk Hoffmann« na str. 102. powiada autor: »Nie płakalibyśmy długo, »gdyby od pożaru alexandryjskiej biblioteki i nasze się »zajęły; stracilibyśmy wiele rzeczy mających wartość »pamiątek — a mało ważnych prawdziwie. Nie zaprze»czam ja wielkiego talentu wielu pisarzom, ale prawie »wszystkim braknie oczywiście na smaku, na oryginal»ności, na śmiałości i zapale — a dzisiejszym na oczy»taniu jeszcze.« Będąc z wielkim szacunkiem dla pism p. Kraszewskiego, któremi tak obficie różne oddziały literatury naszéj, od powiastki aż do grammatyki ubogaca, z duszy radzibyśmy, ażeby był to niestosowne miejsce z »Wędrówek« swoich wykreślił, boimy się albowiem, iżby złośliwiec jaki nie wyciągnął ztąd wniosków, może nie bardzo dla autora pochlebnych. S. J.

Z Warszawy. W tych dniach wyszedł z druku pierwszy *Pamiętnik sceny warszawskiéj na r.* 1838 (str. 200); zawiera szczegółowy rozbiór zdolności artystów teatra warszawskie składających, z krótką znakomitszych biografiją i kilka słów o dziełach nowych, w roku tym na scenie obu teatrów przedstawionych. — Wyszła tu z druku *Grammatyka polska,* ułożona przez Teodozego Sierocińskiego, członka komisyi. exam. i prof. jęz. pol. w gimnaz. gub. mazow. (K. W.)

Z Krakowa. *Towarzystwo naukowe* z Jagiellońskim uniwersytetem złączone, obchodząc uroczyście pamiętną założenia swojego rocznicę, odprawiło dnia 23. lutego r. b. w amfiteatrze gmachów Nowodworskich, posiedzenie publiczne, które p. Antoni Matakiewicz, rektor uniwersytetu, zdaniem sprawy obejmującém całoroczne czynności zagaił, i przy wystawie nader kosztownych osobliwie z Anglii od lordów admiralicyi i towarzystwa biblijnego nadesłanych darów, w książkach polecających się i wewnętrzną wartością i pysznem wydaniem, stosowne uczynił wspomnienie, wyrażając komu należy winną cześć i uczucia niezgasłéj wdzięczności. P. Wiktor Kopf, dr. ob. pr., zamknął posiedzenie czytaniem rozprawy: »O ważności powołania sądowych obrońców.«

Statystyczna tabella pism peryjodycznych. Pewny dziennik paryzki ułożył następującą statystyczną tabellę peryjodycznych pism na całym świecie: w Rzymie liczą 1 dziennik na 51.000 osób; w Madrycie 1 na 50.000; w Wenecyi 1 na 11.000; w Londynie 1 na 10.600; w Berlinie 1 na 4.070; w Paryżu 1 na 3.700; w Sztokholmie 1 na 1.100. Pod względem ludności krajów przypada w Hiszpanii 1 dziennik na 864.000 osób; w Rossyi 1 na 674.000, w Austryi 1 na 376.000, w Szwajcaryi 1 na 66.000, we Francyi 1 na 52.000, w Anglii 1 na 46.000, w Prusiech 1 na 43.000, w Holandyi 1 na 40.450. Liczba prenumeratorów ma się do liczby ludności we Francyi jak 1 do 437, w Anglii jak 1 do 184, w Holandyi jak 1 do 100. (Zawiśei godzien los redaktorów, jeżeli kiedy proporcyja ta w całym świecie miejsce mieć będzie!) »Gazeta dla Indyj« liczy w Azyi tylko 568 prenumeratorów, a *Bengal Hurkaru* 954. W Indyjach Zachodnich wychodzi 27 gazet, w Australii 17. Chiny mają tylko jedyny dziennik, pod nazwą: *Canton Register.* W Konstantynopolu wychodzi pismo: *Moniteur Ottoman,* tudzież gazeta turecka pod nazwą: *Takaimi Weckali,* to znaczy: »Obrazy wypadków,« których pierwszy numer wyszedł na widok publiczny r. 1832. Od niejakiego czasu w Canea, na wyspie Kreta, wychodzi także pismo w tureckim i nowo-greckim języku, pod nazwą: *Ephémérides crétoises.* W Grecyi liczą trzy dzienniki: *Epoche, Ephémérides* i *Sotir,* a w Małéj-Azyi w francuzkim języku: *Journal de Smyrne.* W Afryce wychodzą cztéry czasopisma. — Jak dalece wykaz ten nie odpowiada powyżéj wyrażonéj swéj nazwie, okazuje się już z tego względu, iż w nim nie nadmieniono bynajmniéj o dwóch krajach, które w pisma peryjodyczne najbardziéj obfitują, t. j: o Niemczech i Ameryce Północnéj, w których przeszło 1600 czasopism wychodzi. We Francyi wychodzi 776 dzienników, z tych w Paryżu 326, a w departamentach 450, które w ogóle 150.000 prenumeratorów liczą. We wszystkich innych krajach w ogóle liczą 4130 dzienników, z tego powodu byłoby ich 4906 na całym świecie. Ponieważ w Anglii jest 1200, a w Ameryce 1600 dzienników, to czyni ogółową liczbę 2800 gazet, a zatém dwa narody te czytają »nieporównanie więcéj niż wszystkie inne narody na całéj kuli ziemskiéj.«

Rozkrzewienie kasztanów, jako pożywnego owocu. »Z Bordeaux donoszą: Kasztany, ów nieoceniony rodzaj żywności dla ubogich, powszechnie nie zrodziły w przeszłym roku, a nawet ta mała ilość, którą téj jesieni zebrano, jest bardzo poślednią co do jakości. Drzewo to, pod względem swego owocu, jest jedno z najpożyteczniejszych, ale bardzo trudno rozkrzewić je w naszym departamencie; z tego powodu sposób okulizowania czyli zaszczepienia go na płonce dębowéj jest dla nas bardzo przyjemném odkryciem, przez które je rozkrzewić, a tém samém żywność dla ubogich pomnożyć będzie można.« Pożądaną byłoby rzeczą doświadczyć, ażaliby sposobem nadmienionym także w zimniejszych klimatach szczepienie tego drzewa się nie powiodło.

Formowanie się kryształów. Profesor Link w Berlinie tamecznemu towarzystwu badaczów natury przedłożył dnia 13. stycznia mikroskopiczne postrzeżenia o pierwszém formowaniu się kryształów. Przy rozbiorze świéżych osadów wielu kruszcowych ciał okazuje się, że takowe z bardzo drobnych kuleczek są złożone. Kuleczki te, wcześniéj lub poźniéj, częstokroć nawet w oczach dostrzegacza zamieniają się w kryształy, które kruszcowi są właściwe, ale nie przez skupianie się kulek, lecz przez spływanie się jednej w drugą, czego łatwo dostrzédz można w miejscu, gdzie dwie lub więcéj kulek jedna przy drugiéj się znajdują, które podobnie jak bańki mydlane do kupy się spływają. Że kuleczki te istotnemi są bańkami, czyli pęcherzykami, przekonywa nas nie tylko rozmaita ich wielkość w jednym i tym samym osadzie, ale nawet kończaty i nieregularny kształt, jaki takowe po wysuszeniu częstokroć otrzymują.

Tanność w Neapolu. Pewny dziennik neapolitański wylicza wszystko, co w Neapolu za jeden *gran* (najmniejszy pieniądz neapolitański) otrzymać można. Mianowicie: cygaro, filiżankę kawy, kieliszek wódki, miejsce w teatrze maryjonetek, krzesło na przechadzce

w *St. Lucia*, śklankę ponczu *à la Calabrese*, obwarzanek z rozynkami, lampkę oliwy, sucharek, lalkę dla dzieci, torcik, *Topo* (tak się zowie sam dziennik) i pijawkę. »Możecie więc (mówi tenże) za trzynaście *granów* palić fajkę, posilić się kawą, mieć krzesło w teatrze albo na przechadzce Ś. Lucyi, upić się ponczem albo wódką, do tego przekąsić chleba, obwarzonka albo torcika, oświetlić swój dom, utulić płaczące dzieci, rozweselić swój umysł czytaniem dziennika *Topo*, a jeżeliby przez-to wszystko zgęstniała krew w waszych żyłach, możecie ją kazać sobie wyssać pijawce.«

Myszy fabrykantami. Przemysł angielski umié nawet myszy do swych machin używać, przeto pożytek z nich odnosić. Jeden z dzienników edymburskich zawiera następującą rzeczywistość sprawdzoną. W Kirkaldy znajduje się niejaki pan Halten, który już dwie myszy przyzwyczaił do pracy, a pewien świadek naoczny opisuje tę rzecz jak następuje: »Młyn do deptania dla myszy w ten sposób jest urządzony, iż w nim zwyczajna domowa mysz, wypłacając się za szkodę, jaką pierwéj wyrządzała w spiżarni, każdego dnia, nie wyjąwszy nawet niedzieli, 110 do 120 nitek uprząść, zwić, a nawet zmotać może. Do uskutecznienia tego musi ona w przyrządzonym do tego młynie codziennie 10 1/2 angielskich mil ubieżéć, co nawet nie z wielką trudnością jéj przychodzi. Mysz zwyczajna nie więcéj waży, jak pół uncyi. Mąka owsiana kupiona za fenika, dostateczną jest do wyżywienia tej małéj winowajczyni przez pięć tygodni. W przeciągu tego czasu uprzędzie ona 3850 nitek, a przeto w całym roku 7 szylingów i 6 denarów zarobi. Teraz potrąćmy 6 denarów za pożywienie i 1 szylling za machinę, a zostanie od każdej myszy 6 szylingów czystego zysku. Ostatnią razą gdy z nauczycielem tych myszy rozmawiałem, powiedział mi tenże, iż zamyśla wejść w układy ze spadkobiercami pewnego starego opuszczonego gmachu, mającego sto stóp długości, a 50 szerokości, w którym podług miernego obliczenia, oprócz dziesięciu tysięcy podobnych młynów dla myszy, nawet kilku dozorców i kilkaset widzów zmieścić się będzie mogło. Odtrąciwszy zatém 200 funtów rocznie na utrzymanie dozorców, a 500 funtów jako procentu od dziesięciu tysięcy na wystawienie machin, zawsze jeszcze rocznie 2300 funtów w zysku odniesie.« Otóżto mi projekt, wywierający owym małym złoczyńcom sprawiedliwość, i wyrachowany na pewniejszej zasadzie, niż dzisiejsza spekulacyja brania akcyi na parowe młyny!

Do dziejów noszenia bród. Najdawniejsza wiadomość o noszeniu brody znajduje się w Lewitach 19, 27. wierszu, gdzie jest tak napisano: »Nie powinniście wcale ogalać waszej brody.« Starożytni indyjscy filozofowie, których gimnozofistami zwano, nosili bardzo długie brody, jako symbol mądrości. Assyryjczykowie i Persowie szczycili się długiemi brodami, a Ś. Chryzostom pisze, iż perscy królowie brody swoje złotem przeplatali. Chińczykowie mają także w poważaniu długie brody, a ponieważ natura bardzo skąpo uposażyła ich w tej mierze, dla tego często noszą przyprawione. Alexander Wielki kazał macedońskim żołnierzom poogalać brody, aby ich nieprzyjaciele w bitwie za nie chwytać nie mogli. Rzymianie dopiero w r. 454 od założenia miasta Rzymu brody sobie golić kazali. Hadryjan był najpiérwszy cesarz, który brodę zapuścił. Longobardowie długim brodom, jak niektórzy utrzymują, winni swoje nazwisko. Merowingowie mieli także wielkie w brodach upodobanie. Starożytni Anglicy nosili tylko wąsy. Anglosaxończycy nosili brody, Ale Normanowie, którzy sobie brody golili, przymusili swych poddanych angielskich podobnież do golenia bród; wielu z nich wyniesło się z tego powodu z kraju. W Anglii brody pod Karolem II., we Francyi pod Ludwikiem XIII., a w Hiszpanii pod Filipem V. wyszły z mody.

Lokomotyw stołowy. Nie dawno u pana U. w Paryżu, który zupełnie naśladuje obyczaje angielskie, w końcu obiadu zdjęto obrus i do wspaniałego, mahoniowego stołu, mającego w pewnych odległościach otwory, w przeciągu minut kilku przyśrubowano dwa rzędy srebrnych szyn; na téj kolei ustawiono mały wózek srebrny, winnym spirytusem rozgrzany i przez lokomotyw ciągniony. Zatknięta na wózku chorągiewka służyła do zatrzymania go, co się bardzo małém poruszeniem uskuteczniać dawało. Kształtny wózek ten napełniony był winem i toczył się zwolna po stole, tam i na powrót po przed gości, którzy siedząc w koło i zatrzymując go, wina sobie nalewali. Łatwo sobie wyobrazić można, że nowostka ta mocno się podobała.

Pan Garnerau, pierwszy prezydent parlamentu w Trevoux, był mężem, który posiadał rzadkie wiadomości, wielki talent wymowy i najlepsze serce w świecie, ale przytém był bardzo popędliwy i na najmniejszą rzecz oburzający. Pewnego razu na publiczném zgromadzeniu akademii w Lugdunie, któréj był członkiem, zapowiedział, iż będzie czytał rozprawę o umiarkowaniu. Natychmiast wszyscy się ucieszyli, a mowca zaczął w sposób następujący: »Umiarkowanie, moi panowie... zamkniéjcież tam drzwi od sali!... Umiarkowanie, moi panowie, jest..... a zamkniéjcież tam drzwi, powiadam!... Umiarkowanie, moi panowie, jest cnotą..... alež do pioruna! czy wy dzisiaj drzwi nie zamkniecie?«

Aktor Limbber. Dnia 20. stycznia b. r. umarł w Londynie aktor Limbber, który z psot, zabawnych żartów i dowcipnych pomysłów był bardzo znany. Pewnego dnia Limbber, idąc z swym przyjacielem przez ulicę, spotkał nędzarza, który ich obudwu o jałmużnę upraszał. Przyjaciel jego nie dał nic ubogiemu, Limbber zaś dał mu kilka dukatów. »Jestem pewien, że ten człowiek jest oszukańca,« rzekł przyjaciel. »Jest on,« odrzekł Limbber, »albo nieszczęśliwym, albo też najdoskonalszym aktorem, jakiego kiedy w życiu mojém widziałem, i dla tego na wszelki wypadek godzien wsparcia ode mnie.« — Pewnego dnia Limbber jadąc fiakrem, kazał woźnicy, ażeby go zawiózł pod *Słońce*, t. j: do gościnnego domu w Clare-Market. Gdy powóz przejeżdżał po przed tę restauratornię, Limbber postrzegłszy w niej otwarte okno wskoczył z powozu do pokoju. Woźnica, który tego wcale nie postrzegł, zsiadłszy z kozła, otworzył drzwiczki i zdjąwszy kapelusz, chciał wysadzić swego gościa z powozu. Ale zobaczywszy, że gość zniknął, zaczął miotać przekleństwa na zwodnika, który go tak oszukał; poczém wsiadłszy znowu na kozła, zamyślił już odjechać. Limbber upatrzywszy tę pomyślną dla siebie chwilę, wskoczył znowu przez okno do powozu i wystawiwszy z niego głowę zawołał: »Woźnico! dokądże ty mnie wieziesz? Nawróć zaraz, niechaj wysiędę!« Woźnica usłyszawszy te słowa wychodzące z powozu, prawie osłupiał z przestrachu, poczém nawróciwszy konie, zatrzymał się przed bramą restauratorni. Limbber wysiadłszy sięgnął do kieszeni i chciał mu zapłacić. »Zatrzymaj sobie pan swe pieniądze,« rzekł do niego woźnica, »mój gospodarz zakazał mi, abym dzisiejszego wieczora nie przyjmował żadnej zapłaty.« — »Twój gospodarz jest głupcem, oto masz!« odrzekł Limbber. — »Przepraszam, mości belzebubie, znam ja się na twoich końskich kopytach, chociaż na nich masz buty; nie złowisz mnie w swe sidła.« To rzekłszy wsiadł na kozła, i zaciąwszy konie odjechał.

Redaktor Jan Nep. Kamiński. *Druk Piotra Pillera, we Lwowie.*